

POLSKI UNIwersYTET NA OBCZYŻNIE
W LONDYNIE

ZESZYTY NAUKOWE

SERIA TRZECIA: NR 1, 2013

JOLANTA CHWASTYK-KOWALCZYK

INSTYTUT BIBLIOTEKOZNAWSTWA I DZIENNIKARSTWA
UNIwersYTET JANA KOCHANOWSKIEGO W KIELCACH

PROFESOR KRAJOWY PUNO

TEMATYKA LWOWSKA W POLSKIEJ PRASIE UCHODŹCZEJ W STANACH ZJEDNOCZONYCH PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Wprzeciwieństwie do polskiej prasy wychodźczej w Europie, szczególnie w Wielkiej Brytanii, w czasopiśmie ukazujących się w Stanach Zjednoczonych tematyka lwowska występowała sporadycznie.

Jakościowa analiza zawartości nowojorskiego „Nowego Dziennika”¹ – największej opiniotwórczej, niezależnej polskiej gazety, wychodzącej w latach 1971–1999

¹ „Nowy Dziennik” zastąpił socjalizujący, walczący o niepodległość Polski „Nowy Świat” ukazujący się w Nowym Jorku w latach 1919–1971; pismo ukazywało się w Nowym Jorku; miało dodatki: „Tydzień Polski” (1971–1981), „Przegląd Polski” (1981–1999); red. nac. B. Wierzbiański, wydawca: Bicentennial Publishing Co. Inc; z „Nowym Dziennikiem” współpracowali byli żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, czyli publicyści z londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, „Orla Białego”, „Polski Walczącej”, „Wiadomości”. Celem pisma była *walka o dobro Stanów Zjednoczonych i Polski, o prawa, interesy i dobre imię polskiej grupy etnicznej w Ameryce, ze starej, nowej i najnowszej imigracji* – za: *Od Wydawców „Nowego Dziennika”*, „Nowy Dziennik”, 1971, nr 1, s. 1; por. W. Piątkowska-Stepaniak, *„Nowy Dziennik” w nowym świecie. Pismo i jego rola ideowo-polityczna*, Opole, 2000. *Aby trafić do serc i dusz Polonii, Redakcja zamierzała wydawać na skalę ogólnie amerykańską pismo polskie w języku angielskim. [...] Pismo poważne o sprawach Polski i Polonii* – „The New American Review”, *które odpowiadałoby zainteresowaniom uczniów szkół średnich, studentów, lekarzy, adwokatów, księży, rzemieślników, robotników, a także profesorów wyższych uczelni, by dopomóc Polonii stać się silną grupą etniczną; [...] promotorem zjednoczenia całej Polonii* – za: *Pierwsza rocznica „Nowego Dziennika”*, „Tydzień Polski”, 1972, nr 53, s. 2.

– dowodzi, że środowisko lwowian osiadłych za oceanem po drugiej wojnie światowej nie było tak liczne i skonsolidowane, jak na starym kontynencie. Przyczyną braku szerszego kulturalnego zaistnienia ich na ziemi amerykańskiej był również fakt, iż inteligencja lwowska skupiła się na Wyspach Brytyjskich. Do Stanów Zjednoczonych wyemigrowali Polacy mniej wykształceni, którzy podejmowali pracę fizyczną, lub inteligencja, która musiała ukryć swoje prawdziwe wykształcenie i była zmuszona wykonywać zajęcia poniżej kwalifikacji. Dowodem na poparcie tej tezy może być wstrząsająca korespondencja Michała Kryspina Pawlikowskiego ze Stanów Zjednoczonych nadesłana do londyńskich „Wiadomości”, który sam będąc byłym europejskim dipisem (DP), opisał ich powojenny chaos, stanowiący odrębny świat². Zarzucił prasie wolnych państw, że ukazuje problem DP jednostronnie i żałośnie nieprawdziwie. Raporty obcych dziennikarzy nie zawierały bowiem analizy psychopatologicznego bagażu lat tułaczki, pobytu w obozach DP, demoralizującej wegetacji, *lepkiego błotka psychozy obozowej*. Publicysta przedstawił smutny obraz DP przybywających do Stanów Zjednoczonych ze znaczkami na piersiach organizacji społecznej, pod której opieką przypłynął. Tłum szary, bezimienny, ponumerowany – bo Amerykanom łatwiej wymówić numer niż nazwisko. Zauważał kobiety ubrane w przesadnie krótkie spódnice (moda sprzed 10 lat!).

Pierwsze wrażenie oczekujących na nabrzeżu – to unifikacja dipisa: wszystkie twarze zmęczone, 80% cierpi na ciężką postać choroby morskiej, a ci, którzy nie chorowali – musieli na statku ciężko pracować, *bo IRO nie wozi za darmo*; bardzo dużo dzieci. Urzędnicy imigracyjni kazali muzykom demonstrować swoje umiejętności, by udowodnili, że nie przemycają instrumentów muzycznych. W większości byli to robotnicy i rolnicy, choć zdarzali się ludzie wykształceni, władający kilkoma językami, będący osobliwą kategorią. *Profesorowie, fizycy, tancerki, szlachcianki z zaścianków kresowych mieli pracować na farmie psów!* Demonstrowali swoje niezadowolenie z warunków oferowanych przez sponsorów ich przyjazdu. Panowało poczucie rozżalenia i rozczarowania, pomimo że Amerykanie byli ciekawi dipisów, na ogół przychylnie nastawieni, szczególnie interesowali się dziećmi, które ich wzruszały – na przystani, w poczekalniach dworcowych obdarowywali je cukierkami i innymi słodyczami oraz zabawkami. Czasami padało pytanie: Po co ich tu sprowadzacie? Autor relacji twierdzi, że to komunistyczne prowokacje.

Inny publicysta Ludwik Michałowski w „Orle Białym” przestrzegał, że decydując się na emigrację do USA, dipisi muszą mieć świadomość, że w tym kraju należy liczyć na siebie, że nikt nikim się nie opiekuje³. Monitorowano możliwości i warunki pracy dla polskich dipisów w USA⁴.

² M. K. Pawlikowski, *DIPISI*, „Wiadomości”, 1950, nr 13 (208), s. 1.

³ L. Michałowski, *Nowi emigranci w USA*, „Orzeł Biały” 1950, nr 21 (412), s. 4; tenże, *Kłopoty nowych emigrantów w USA*, „Orzeł Biały”, 1950, nr 22 (413), s. 4; Kl. H., *Oblicze emigracji w USA*, „Orzeł Biały”, 1950, nr 40 (431), s. 2.

⁴ *O możliwościach i warunkach pracy dla Polaków w USA*, „Orzeł Biały”, 1951, nr 41 (484), s. 6.

Jedynym lwowianinem w redakcji nowojorskiego „Nowego Dziennika” był Tadeusz Siuta (1913–1978)⁵. Urodzony we Lwowie, ukończył Gimnazjum im. Jana Długosza, a w 1936 roku Uniwersytet Jana Kazimierza. Tam też się doktoryzował. Był historykiem nowożytnym, objął katedrę po śmierci profesora Chylińskiego. Po wybuchu drugiej wojny światowej brał czynny udział w antysowieckim ruchu podziemnym. Po aresztowaniu przez NKWD został zesłany do łagru, skąd wyostał się na wolność na mocy układu Sikorski – Majski w 1941 roku.

Po wstąpieniu do Armii generała Władysława Andersa pracował w Wydziale Prasy i Oświaty – prowadził nasłuch radiowy i redagował biuletyny informacyjne. Od 1942 roku w Teheranie redagował dla oddziałów ewakuowanych z ZSRR codzienny biuletyn prasowy. W Bari we Włoszech w 1944 roku współpracował z Władysławem Wąchałą, Adamem Bardeckim i Józefem Frydem przy redagowaniu „Gazety Żołnierza”⁶.

Po zakończeniu wojny udał się z Włoch do Argentyny, do Buenos Aires. W latach 50. redagował „Kurier Polski” z wileńskim dziennikarzem Feliksem Zahorą-Ibiańskim. W tym czasie pisał także eseje na tematy starożytne dla londyńskich „Wiadomości”. W połowie lat 60. przeniósł się do USA – mieszkał w Chicago i Nowym Jorku. Tu związał się z redakcją „Nowego Świata”, a potem „Nowego Dziennika”. Od początku stał się ich filarem, ale przez przesadną skromność – nie widnieje w stopce pisma. To on redagował większość każdego wydania. Przez ostatnie 15 lat swojego życia współredagował „Kombatanta w Ameryce”. Koledzy-korespondenci wojenni mówili o nim: „Był z tych, o których w 2. Korpusie zwykło się mówić – z nim można iść na patrol”.

Nieliczna społeczność lwowska zorganizowała się w Koło Lwowian, którego działalność cyklicznie odnotowywano na łamach „Nowego Dziennika”⁷. Zamieszczano również zdjęcia miasta, czasem podpisane podniosłymi słowami poetów, na przykład dwuwierszem Sebastiana Klonowica z *Roxolandii: Lwowie, my ciebie kornie pozdrawiamy / Bo losy świata w twych murach się ważą*⁸. Niejednego przymusowego wygnańca nostalgicznie nastrajały wiersze różnych autorów, jak choćby Kornela Makuszyńskiego *Zegary lwowskie*, zamieszczone w piśmie z okazji świąt wielkanocnych:

*Kiedy wieczorne zmówiwszy pacierze
Zaśnie spokojnie Lwów stary,
Wtedy sędziwe rozmawiają wieże
I rozmawiają zegary.*

⁵ Dane biograficzne pochodzą z publikacji: W. Piątkowska-Stepaniak, „Nowy Dziennik” w nowym świecie..., s. 457–458.

⁶ Początkowo W. Wąchała był redaktorem naczelnym, P. Siuta i A. Bardecki zajmowali się tekstami informacyjnymi, a J. Fryd sprawami technicznymi.

⁷ Np. *Działalność Koła Lwowian*, „Nowy Dziennik”, 1971, nr 20, s. 4.

⁸ „Tydzień Polski”, 1971, nr 4, s. 3; „Nowy Dziennik”, 1977, nr 1706, s. 4.

Już dawni ludzie w cichym leżą grobie
Wieki odeszły na cmentarz,
A one ciągle wspominają sobie:
„... Czy też, mój bracie, pamiętasz?”

A gdy północna nastanie godzina,
W każdym z nich budzi się dusza
I wtedy wolno opowieść zaczyna,
Dostojny zegar ratusza.

To wiek i urząd przywilej mu dawa,
Iż on zaczyna pacierze,
Takie są bowiem dawne, miejskie prawa,
Że burmistrz pierwszy głos bierze.

Więc dźwięczy godnie, wspaniale, dostojnie
O szczęściu i o cierpieniu,
O znojach, bojach, o straszliwej wojnie
I o Tatarów zniesieniu.

O Arciszewskim zeń w ciszę głos leci,
Jak wzmacniał mury i szańce,
I o tym, jak wielki, on Jan Trzeci,
Zbił i pognębił Pohańce.

Bim! Bam! Dokoła dziwią się zegary,
Zdumione sławy pogonią
I triumfalnie śpiewają fanfary
I dzwonią, dzwonią, dzwonią.

Bim! Bam! Zadzwoił służka nieustanny,
Modlący się co godzina,
W małym kościółku dobrej, świętej Anny,
Kościelny dziad starowina.

Wnet mu głos złoty wesoło odpowie,
Nieumęczony i świeży:
To dwa zegary, jako dwaj bratowie,
Z Marii Magdaleny wieży.

I w tejsze chwili daleko, dokoła,
Budzą się wszystkie, jak ptaki,
Z każdej kaplicy, z każdego kościoła
Zegary podają znaki.

*Jeden jest tylko w ślicznym mieście Lwowie
Zegar, co bije przed czasem,
Bo przed wszystkimi zawsze się opowie
„Bernardyn” dźwięcznym basem.*

*Lecz choć się wcześniej ogłasza o chwilę
I tym od wieków już słynie,
Ratusz z urzędu pierwszy jest i tyle!
Pobożny nasz „Bernardynie”!*

*Dawno we Lwowie myśleli już o tym,
Ludzie potężni w rozumie,
Czemu „Bernardyn” wcześniej wali młotem,
Wciąż pierwszy w zegarów tłumie?*

*I oto wszyscy utrafili w sedno,
Głowacze najwięksi w mieście:
Zacny „Bernardyn”, co ma sakwę biedną,
Wcześniej chce chodzić po kweście⁹.*

Lamy „Nowego Dziennika” częściej jednak demaskowały barbarzyńskie praktyki władz sowieckich, które etapami przez lata pozbawiały Lwów śladów polskości, choćby poprzez dewastację Cmentarza Orłąt Lwowskich – najpierw burząc mury, otwierając na penetrację miejskich szumowin, by w sierpniu 1971 roku rozjechać go czołgami Armii Czerwonej, zniszczyć resztki pomników polskich bohaterów, zamienić pola od 14 do 31 na śmietnisko¹⁰. Główne pylony Kolumnady Pomnika Chwały, wykonane z kamienia Polańskiego, ufundowane przez społeczeństwo polskie w kraju i Polonię amerykańską – jeszcze stały, ponieważ wysadzenie ich było niebezpieczne dla okolicznych domów. Pozostałe kolumny zburzono. Znikły również lwy sprzed wejścia. Katakumby Cmentarza przekształciły się w siedlisko mrocznego życia bezdomnych, alkoholików, prostytutek:

Ściany pokryte są napisami i pornograficznymi rysunkami, wokół resztki potłuczonych butelek po wódce... Przez cały Cmentarz wybito szeroką drogę, którą wywozi się śmieci z Cmentarza Łyczakowskiego – właśnie na teren Cmentarza Orłąt. Nie istnieją już pomniki lotników amerykańskich, ufundowane przez ludność Chicago i pomnik poległych żołnierzy francuskich. Ocalałe groby pozbawione są krzyży i napisów. Z grobu, gdzie spoczywał Nieznany Żołnierz, z pamiątkowej mogiły zdarto marmurową płytę. [...] Z głosów dobiegających z samego Lwowa i z całej Polski, wybiega skarga i apel do cywilizowanego świata. Ludzie są wstrząśnięci do głębi¹¹.

⁹ K. Makuszyński, *Zegary lwowskie*, „Tydzień Polski”, 1971, nr 7, s. 8.

¹⁰ W. Trościanko, *Barbarzyńcy na cmentarzu Orłąt*, „Tydzień Polski”, 1971, nr 39, s. 3–4.

¹¹ Tamże, s. 3.

Trościanko w swoim artykule zadaje retoryczne pytanie władzom warszawskim:

Gdzież są teraz, gdy pod barbarzyńską furią pada jeden z najbardziej szacownych pomników bohaterstwa? Co robi minister Wieczorek, właściwy resortowo od takich spraw? I jak w tym wszystkim wygląda Towarzystwo tzw. „Przyjaźni Polsko-Radzieckiej” [...] Czy też raz jeszcze obnażają cały fałsz swoich frazesów i szyldów?¹²

Autor apeluje w imieniu wszystkich Polaków, tych w kraju i na emigracji, o szybką interwencję, uważa bowiem, że szacunek dla zmarłych, opieka nad cmentarzami jest miarą kultury narodów.

Tygodnik zamieścił również petycję Wiesława Domaszewskiego, prezesa Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce do American Battle Monuments Commission (Amerykańska Komisja Ochrony Grobów Wojennych) w Waszyngtonie, by nie dopuściła do zrównania z ziemią miejsca czci narodu polskiego – Cmentarza Orłąt Lwowskich i otoczyła opieką groby 16 amerykańskich oficerów lotników z Eskadry Kościuszkowskiej, którzy w latach 1919–1920 pospieszyli dobrowolnie na pomoc Polsce¹³.

Inny charakter mają nieliczne wspomnienia uczestników walk w obronie Lwowa w latach 1918–1919, jak na przykład relacja znanego po obu stronach oceanu publicyisty, współpracownika wielu pism emigracyjnych – Tadeusza Katelbacha za tytułowana *O pierwszej obronie Lwowa w listopadzie 1918 roku*, która ukazała się z okazji 59. rocznicy tych walk w 1977 roku¹⁴. Autor opisał walki o Lwów trwające od 1 do 22 listopada 1918 roku, zakończone odebraniem „wiernego miasta” Ukraińcom, którzy korzystając z poparcia Austriaków, dokonali zamachu, by je zaanektować. Dzięki tej relacji poznajemy klimat polityczny końca I wojny światowej i nastroje radosnego oczekiwania mieszkańców na nieuchronną klęskę Niemiec i Austro-Węgier.

Autor, wtedy student z Warszawy, był delegatem na zjazd ogólnoakademicki odbywający się we Lwowie. Jego delegacja, omijając kordony okupacyjne, przybyła ze stolicy do Lwowa 31 października 1918 roku, lokując się w Domu Akademickim. Katelbach pamięta *widok ludzi w mundurach legionowych i innych oraz – karabinów podpierających korytarze gmachu*. Rano nastąpił atak Ukraińców. Pomimo tego wszyscy delegaci spotkali się na obradach, którym przewodniczył Katelbach. Panowało wielkie zamieszanie i chaos. Był pomysł przerwania zjazdu, ale koleldzy ze Lwowa uspokajali, że na pewno pomiędzy Polakami a Ukraińcami dojdzie do negocjacji pokojowych. Ostatecznie zdecydowano pozostać do następnego dnia. Obrady skrócono, wydając odezwę do całej młodzieży polskiej, by wzięła czynny udział w rozpoczętych walkach o wyzwolenie miasta z rąk zamachowców ukraińskich. Tego samego dnia wieczorem większość studentów znalazła się w polskich punktach oporu. Katelbach walczył w Szkole Kadetów.

¹² Tamże.

¹³ *O Cmentarzu Orłąt i Groby Lotników Amerykańskich*, „Tydzień Polski”, 1971, nr 39, s. 4.

¹⁴ T. Katelbach, *O pierwszej obronie Lwowa w listopadzie 1918 roku*, „Nowy Dziennik”, 1977, nr 1706, s. 4.

Procedura mobilizacyjna trwała krótko. Dostałem jakiś szary płaszcz austriacki, karabin, naboje i miałem czekać z innymi na rozkaz. Przyszedł wieczorem. Padał deszcz. Noc była ciemna. Z trudem szliśmy w nieznane, zapadając się co chwila w błoci... Dobrnęliśmy wreszcie do cmentarza. [...] Rozlokowaliśmy się na względnie suchych grobowcach. Wskazano nam kierunek, z którego należy spodziewać się wroga, i czekać na rozkaz strzelania. Taki był początek mojej odysei wojennej we Lwowie¹⁵.

Dalej poznajemy kolejne dni „warszawisty w ćwiekrach” (czyli okularach), jak go przewalali lwowscy towarzysze broni – studenci, robotnicy, uczniowie. Dowodzili nimi plutonowi lub kaprale z Legionu Wschodniego sformowanego w ramach armii austriackiej.

Z powodu ciągłych ataków Ukraińców Katelbach pełnił służbę permanentnie. Wszyscy (w sumie około 90 osób) byli wyczerpani, niedospani, głodni. Walczący nie mieli łączności z innymi punktami polskiej obrony. Wiadomości z kraju też były skąpe. Późno dowiedzieli się o przybyciu z Magdeburga do Warszawy Józefa Piłsudskiego. *Podniosło to na duchu obrońców odcinka Szkoły Kadetów, którzy zaczęli poddawać się zwątpieniu, czy nadejście wciąż oczekiwana pomoc¹⁶.*

Pomimo nieustannego ostrzeliwania artyleryjskiego, młodzi obrońcy trwali na posterunku, który był redutą broniącą dostępu do opanowanego przez Polaków Lwowa. Bez zdobycia tej reduty Ukraińcy nie mogli myśleć o zwycięstwie. Atak generalny Strzelców Siczowych – regularnej formacji ukraińskiej zorganizowanej wcześniej w armii austriackiej – nastąpił 17 listopada. Polskim obrońcom udało się odeprzeć nawałnicę wroga i zepchnąć ich poza obręb Parku Stryjskiego. Niebawem na pomoc pospieszyło regularne polskie wojsko i 22 listopada Katelbach opuścił okopy, po czym wraz z oddziałem udał się na plac koło kościoła bernardynów. Publicysta ze wzruszeniem wspomina owację, jaką zgotowali im lwowianie: *Witano nas z okien radosnymi okrzykami. Towarzyszyły nam tłumy częstujące wódką, wszelakim jadem, papierosami. Ściskano nam ręce. Płakano ze szczęścia¹⁷.* Komendant obrony Lwowa, brygadier Czesław Mączyński, zezwolił wszystkim warszawiakom-akademikom, walczącym na różnych odcinkach obrony wracać nazajutrz pierwszym pociągiem jadącym na Przemyśl – Kraków do Warszawy. Tylko ranni i chorzy pozostali we Lwowie. Lwowianki zrobiły wszystkim piękne opaski z napisem „Lwów”, z którymi *dumnie paradowali ulicami wolnej już stolicy Polski. Znany fotograf warszawski Fuks zrobił walczącym studentom w obronie Lwowa zdjęcie, które zamieściły dwa poczytne czasopisma stoliczne: „Tygodnik Ilustrowany” i „Świat”¹⁸.*

W roku 1980 w dodatku „Nowego Dziennika” – „Tygodniu Polskim” ponownie nie dano zapomnieć o rocznicy obrony Lwowa 1918 roku, zamieszczono również wywiad ze „starym wiarusem”, podporucznikiem Julianem Krasnodębskim, weteranem Armii Błękitnej, który przemierzył z nią szlaki bojowe od Francji po Kijów¹⁹.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ J. Parciwicz, *Obrona Lwowa. Niezapomniana rocznica*, „Tydzień Polski”, 8–9 XI 1980, s. 6–7A.

Redakcja nowojorskiego „Nowego Dziennika” nie stroniła od publikowania wstrząsających relacji Lwowian, którzy po wielu dziesiątkach lat od opuszczenia rodzinnego miasta w 1939 roku odwiedzili Lwów, będący od drugiej wojny światowej we władaniu Sowietów. Takie znikające ślady polskości – po 35 latach nieobecności w mieście nad Pełtwią – opisał w Marian Czereński, były żołnierz Armii Polskiej, wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną 17 września 1939 roku²⁰.

W swej relacji z 1976 roku zapewniał, że gmachy, ulice, parki i zabytki są takie, jakie polscy wygnańcy zachowali w swej pamięci, ale jednak klimat miasta jest zupełnie inny, bo „Lwów nie mówi po polsku!”, chociaż można się w tym języku porozumieć. Odnotował brak polskich napisów, poza pozostawionym bez zmiany nazwiskiem i imieniem Adama Mickiewicza na jego pomniku. Daremnie szukał informacji dla turystów w innym języku niż rosyjski i ukraiński. Z doniesień żyjących tam Polaków wywnioskował, że przed nacjonalistycznymi zakusami ukraińskimi we Lwowie paradoksalnie czasami chronią ich skutecznie Rosjanie, którzy mają głos ostateczny i decydujący w każdej istotnej sprawie. 20-tysięczna grupa Polaków (na tle 600-tysięcznego miasta) przybyszowi zza oceanu jawiła się jako *garstka, która manifestuje swoją obecność w mieście w sposób dyskretny i umiarkowany, niemal niezauważalny*²¹. Główną ostoją polskości jest zadbana katedra, znajdująca się na placu Róży Luksemburg (jak nazwano dawny plac Katedralny), w czasie nabożeństw odprawianych po łacinie – wypełniona „wyłącznie starymi kobietami”. Nie dostał się do kościoła św. Antoniego na Łyczakowie, który był zamknięty.

Ze ściśniętym gardłem odnotował zdewastowany cmentarz Orląt Lwowskich, jak również Cmentarz Łyczakowski – gdzie niszczyć pomniki sławnych Polaków – Konopnickiej, Zapolskiej, Grottgera, Goszczyńskiego, Czerwińskiego i innych²². Na miejscu Cmentarza Obrońców Lwowa odnalazł warsztat i skład złomu. Wyraził opinię, że polski charakter Cmentarza Łyczakowskiego w ciągu kilkunastu lat doszczętnie zniknie, tak jak znikły polskie nazwy dzielnic: Łyczaków, Zamarstynów i pozostałych. Z radością odkrył, że nadal istnieją ulice Słowackiego, Kościuszki, Matejki, Mickiewicza, dwie szkoły średnie przy ulicy Kochanowskiego w dawnej szkole ewangelickiej i szkoła powszechna przy ul. Potockiego – wszystkie z językiem wykładowym polskim.

U autora, pamiętającego Lwów przedwojenny, największe zdumienie budził

tłum typowo małomiasteczkowo-wiejski, jakby w wielkim mieście zagubiony czy do niego nieprzystosowany, chropowaty, bez stylu właściwego mieszkańcom większego środowiska. Nie są to robotnicy warszawscy, ani chłopci rzeszowscy, ani warszawscy cwaniacy. Jest w tym lwowskim tłumie tępe, spokojne, ostrożne prostactwo zacoфанego, głębokiego miasteczka. Ani jednej atrakcyjnej dziewczyny, ani gwaru tak charakterystycznego dla ulicznych tłumów, ani głośnych śmiechów młodzieży, ani szczypty elegancji miejskiej. Nie powiedziałbym, aby był to tłum przygnębiony czy smutny. Jest natomiast piekielnie monotony i dlatego po części żało-

²⁰ M. Czereński, *We Lwowie po 35 latach*, „Tydzień Polski”, 1976, nr 263, s. 10–11.

²¹ Tamże, s. 11.

²² Autor minął się z prawdą, ponieważ te pomniki nawet w czasach sowieckich były dobrze zachowane.

sny. [...] Przy głównych ulicach, tuż obok wielkich, dobrze zaopatrzonych sklepów, ustawiane są małe stoliczki; sprzedaje się na nich mleko we flaszkach, świeże jaja, jakieś tłuszcze, co na Legionów lub Akademickiej tworzy wręcz zabawny, ale i groteskowy widok. Wystawy są bardziej niż nędzne²³.

Swoją pięciodniową podróż do Lwowa, Łucka, Oleska, Podhorców i Żółkwi, którą odbył 45 lat po zakończeniu II wojny światowej, opisał w kolejnym dodatku „Nowego Dziennika” – „Przeglądzie Polskim” Waldemar J. Miliszkiewicz²⁴.

Autor uważał, że już kilkudziesięciogodzinne (50–70 godzin) oczekiwanie na granicy polsko-sowieckiej oraz atmosfera niepewności niejednego turystę z Zachodu by zniechęciły do odwiedzenia tamtych terenów. Jego relacja pokazuje Lwów okresu przemian lat 90. jako siermiężne miasto i przekonuje, że *dekret o suwerenności Ukrainy, o którym trąbiły telewizje całego świata, jest suchą informacją nie odzwierciedlającą złożoności codziennych zdarzeń*²⁵. We Lwowie utworzono ukraiński Hyde Park na placu przed starannie odnowionym teatrem, gdzie występowali: Modrzejewska, Korolewicz-Waydowa, Kruszelnicka, a obecnie „furorę robią” drukowane nieoficjalnie odezwy i gazety rozmaitych orientacji politycznych. Na rynku odbywały się manifestacje pod portretami Stefana Bandery²⁶ oraz przywódców Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Miliszkiewicz postrzegał Lwów jako centrum ukraińskiej opozycji, która zdobyła tu większość mandatów w ostatnich wyborach do rad. Na urzędach powiewały ukraińskie flagi.

Autor miał problem, jak w tych warunkach politycznego wrzenia rozmawiać z Ukraińcami o potrzebie ratowania ostatnich materialnych śladów polskości tych ziem, jak pomóc mieszkającym tam Polakom. Niejednokrotnie usłyszał opinię, że los Polaków na Ukrainie nie ulegnie poprawie, dopóki Ukraińcy nad Wisłą nie zyskają zadośćuczynienia za represje, jakich doświadczyli ze strony PRL.

Duże wrażenie zrobił na nim stan dewastacji polskich zabytków, jak choćby figura Chrystusa z odrąbaną głową na dziedzińcu katedry przy ulicy Ormiańskiej, kościół jezuitów z przeciekającym dachem, w którym niszczały polskie księgozbiory, czy Cmentarz Orłąt. Nekropolię oddzielono od kaplicy bazą transportową, zakładem kamieniarskim zlokalizowanymi na katakumbach; całkowitemu zniszczeniu uległa kolumnada, mogiły tarasowo i półkoliście opadające w dół. Zatrudnieni w ZSRR Polacy z „Energopolu” próbowali odtworzyć dawny podział cmentarza spod zwałów śmieci.

Miliszkiewicz nadmienił, że towarzyszący mu w wyprawie na Kresy Wschodnie jedenastoletni syn bezskutecznie próbował odnaleźć, po powrocie do Polski, w krajowym *Słowniku artystów polskich* i *Słowniku biograficznym* nazwisko Rudolfa Indrucha, projektanta Cmentarza Obrońców Lwowa.

²³ Tamże.

²⁴ W. J. Miliszkiewicz, *Lwowska zmiana warty*, „Przegląd Polski”, 30 VIII 1990, s. 4–5.

²⁵ Tamże, s. 4.

²⁶ Stefan Bandera był przywódcą nacjonalistów ukraińskich, nie mógł jednak – jak napisał autor – doprowadzić UPA z powodu uwięzienia go przez Niemców przed powstaniem UPA.

Rok później Jan Nowak-Jeziorański, po odbyciu podróży sentymentalnej po 46 latach, zachęcając swoich rodaków do odwiedzenia miasta ich dzieciństwa i młodości, dał świadectwo zmiany polityki sowieckiej wobec przyjeżdżających tam turystycznie Polaków²⁷. Uważał, że skoro on, były dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, który nie należał do ulubieńców KGB, może spędzić tam kilka dni bezkarnie, to i oni mogą. Odnotował 25-tysięczną polską społeczność i polską mowę na ulicach Lwowa, licznie zgromadzonych rodaków w katedrze na niedzielnym nabożeństwie, gorycz ukrytych Polaków ze Lwowa, że tak mało Polonii i emigrantów odwiedza to miasto. Ze smutkiem skonstatował, że *jedyną polską dzielnicą mieszkaniową pozostał Cmentarz Lyczakowski* oraz że *kontrast pomiędzy warunkami życia tu i w Warszawie wydaje się być większy niż między Warszawą a Waszyngtonem. Ludzie żyją w śmiertelnym lęku, że to, co najgorsze, dopiero nadchodzi. Marzeniem Polaków jest wyjazd na handel do Polski, która wydaje się lwowianom Eldorado*²⁸.

Oprócz ponurych refleksji dotyczących zacierania przez władze sowieckie śladów polskości Lwowa, na łamach emigracyjnych tygodników w Stanach Zjednoczonych zdarzały się artykuły przypominające czasy świetności życia kulturalnego miasta w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Twórcą jednego z nich, opisującego lwowskie wspomnienia teatralne, był Kazimierz Schleyen, autor *Lwowskich gawęd*, wydanych przez „Gryf” w Londynie w 1967 roku²⁹.

Lwowianin z dumą wspominał niedoścignione kreacje aktorskie Kazimierza Kamińskiego, Stefana Jaracza, Kazimierza Junoszy-Stępowskiego, Mieczysława Frenkla, Juliusza Osterwy, Józefa Węgrzyna i innych na scenach lwowskich teatrów. Z ról kobiecych zapamiętał Wandę Siemaszkową, Stanisławę Wysocką, Mieczysławę Ćwiklińską. Wyraził opinię, że *teatr był czołową pozycją polskości, źródłem szczęścia, radości i szlachetnych uniesień. [...] Chodziliśmy do teatru po kilka razy w tygodniu, na wszystko, ale to „wszystko” było najwyższej klasy. Ze wszystkich widzianych kreacji najwyżej ocenilem dwie jednoaktówki: Gabrieli Zapolskiej [„Jesienny liść”] i Romana Żelazowskiego [„Pietro Caruso”]*³⁰.

Ciekawymi refleksjami na temat okoliczności powstania „Panoramy raclawickiej”, namalowanej przez Jana Stykę w latach 1892–1894 i wystawionej we Lwowie w 1894 roku z okazji Wystawy Krajowej, podzielił się z czytelnikami Karol Witt w roku 1971³¹. Publikacja oparta jest na solidnej bazie źródłowej naukowej i literackiej, co było dość rzadką praktyką, stosowaną przez redakcję w dodatku „Tydzień Polski”.

²⁷ J. Nowak-Jeziorański, *Wyprawa do Lwowa*, „Przegląd Polski”, 29 VII 1991, s. 2–3.

²⁸ Tamże, s. 3.

²⁹ K. Schleyen, *Lwowskie wspomnienia teatralne*, „Tydzień Polski”, 1971, nr 20, s. 9.

³⁰ Tamże.

³¹ K. Witt, *Panorama Raclawicka – Lwów 1894*, „Tydzień Polski”, 1971, nr 12, s. 6–9.

Artykuł prezentuje przedsięwzięcie, które z widowiska malarskiego przekształciło się w *legendę o powstaniu ludu i o tego ludu zwycięstwie, w legendę, jaka rozgrzewała serca zwiedzających lwowską wystawę, o której współcześni nie zapomną, a o której i dzieciom, i wnukom opowiadać będą*³². Inicjatora i głównego twórcę „Panoramy raclawickiej” publicysta przedstawił jako wielką indywidualność twórczą, malarza o niespożytej energii, gorącego patriotę, który większą część swojego życia poświęcił *robieniu polityki pędzlem*.

Styka, syn Lwiego Grodu, uczeń Jana Matejki, powróciwszy na stałe do Lwowa w 1890 roku, *zapalał umysły i serca płomienną miłością ojczyzny i wskrzeszał dumę z przeszłości narodowej [...]. Natchnął „Panoramę” dynamiczną myślą historyczną i polityczną*³³. To od Jana Styki miasto, po rozpisaniu składki publicznej, odkupiło alegoryczny obraz „Polonia”, który zawieszono w sali ratusza.

Przy koncepcji „Panoramy raclawickiej” pracowało wiele osób, które spotykały się w kole literacko-artystycznym. Do projektu przekonano najpierw doktora Zdzisława Marchwickiego, dyrektora Wystawy i wiceprezydenta Lwowa. Biblioteka Ossolińskich dostarczyła materiały historyczne, zbiory Pawlikowskich – wzory mundurów wojska polskiego. Styka zaprosił do współpracy Wojciecha Kossaka. Zebrano sto tysięcy złotych reńskich potrzebnych na realizację tego projektu. Świat artystyczny nie dowierzał, że przedsięwzięcie się uda. Odzywały się również głosy polityczne przeciwne tej inicjatywie, uważając, że nie wypada publicznie cesarzowi Franciszkowi Józefowi, który zapowiedział przyjazd na lwowską Wystawę, pokazywać tak „rewolucyjny” obraz. Sugerowano namalowanie odsieczy Wiednia, co byłoby przypomnieniem aliansu polsko-austriackiego.

Styka i Kossak nie bali się cesarza i wyruszyli do Wiednia w celu zawarcia kontraktu z firmą Gridla na sporządzenie żelaznej konstrukcji przyszłego budynku „Panoramy”, po czym Styka sam udał się do Monachium i Berlina, by zapoznać się ze sposobem malowania panoramy. Wcześniej bowiem nikt z polskich artystów nie namalował tego typu obrazu, mającego 120 metrów obwodu i 15 metrów wysokości. Rozstrzygnąć należało również, jak powiesić olbrzymie płótno o powierzchni tysiąca siedmiuset metrów kwadratowych i wagi czterech ton, jak je naciągnąć, ile razy zagruntować, jak przygotować szkice i w jakiej ilości, jak zacząć rysować na płótnie, na jakiej wysokości wykreślić horyzont, jakiej wielkości mają być figury, ilu malarzy może równocześnie malować, jakie rusztowania zbudować i jak je ustawić na szynach itp. Styka z zagranicy powrócił w towarzystwie malarza Ludwika Bollera z Monachium, utalentowanego pejzażysty, który miał doświadczenie w malowaniu panoram.

Obaj artyści zapoznali się najpierw w Krakowie z planem bitwy, pozycjami wojsk polskich i rosyjskich, pejzażem, miejscowymi strojami ludowymi. W Kielcach gubernator Iwanienko odmówił im zezwolenia na malowanie studiów z natury w guberni kieleckiej i zagroził więzieniem w wypadku złamania zakazu. Malarze zachowując

³² Tamże, s. 6.

³³ Tamże.

pozory, że posłusznie opuszczają dystrykt kielecki, skorzystali z zaproszenia miejscowego szlachcica i jego końmi ruszyli przez Miechów do Raławic. W 99. rocznicę o trzeciej po południu (o tej godzinie rozpoczęła się bitwa) stanęli na polach dziemierzyskich. Wzruszeni obeszlili cały teren bitewny uświetniony zwycięstwem polskiego oręża. W ich wyobraźni kręty wąwóz wypełnił się pułkami Kościuszkowskimi. Koncepcja przyszłej panoramy została uzupełniona przez opowieści miejscowych włościan o bitwie. Aby poczuć atmosferę Raławic, przybył do nich z Krakowa, zawezwany telegraficznie, Wojciech Kossak. Zabawił tam jednak tylko kilka godzin, bowiem okazało się, że policja carska zamierza aresztować polskich malarzy. Wiadomość tę przywiozła z Kielc przebrana za wieśniaczkę teściowa Styki. Kossak i Boller wrócili do Krakowa, a Styka pozostał, by zrobić potrzebne szkice z natury. Jeden z ziemian ofiarował artyście wyorane przez lata kule i kartacze, które potem zostały umieszczone w gmachu „Panoramy”. Styka w drodze powrotnej do Lwowa odwiedził także chatę Bartosza Głowackiego w Rzędowicach, gdzie wysłuchał kolejnych opowieści o minionych czasach, w których *żyła tradycja między ludem i z ojca na syna przechodzi*³⁴.

W lipcu 1893 roku budynek „Panoramy” był już wykończony i naciągnięto olbrzymie płótno, dostarczone z Brukseli. Na zagruntowanie zużyto 750 kilogramów białej farby. Malarze przystąpili do malowania 26 czerwca. Styka rozpoczął prace od postaci Głowackiego, zaś Kossak od pocztowego, który z lancą naciera na kozaków. Dołączyli do nich: Ludwik Boller, Tadeusz Popiel, Teodor Axentowicz, Zygmunt Rozwadowski, Włodzimierz Tetmajer, Michał Sozański i Wincenty Wodzinowski.

Po półtora roku dzieło było skończone. 28 maja 1894 roku nastąpiło formalne, uroczyste przekazanie go Komitetowi. Marzenie Styki się spełniło, 5 czerwca 1894 roku „Panoram raławicka” otwierała Wystawę Krajową, będącą przeglądem gospodarczego i kulturalnego dorobku dzielnicy objętej zaborem austriackim. „Panoramę” obejrzało 200 tysięcy osób, w tym cesarz Franciszek Józef. Siedemdziesiąt siedem lat po tym wydarzeniu przypomniano rodakom w Stanach Zjednoczonych, że *do Lwowa nadciągały pielgrzymki ludu polskiego i młodzieży [...]. Modlono się przed „Panoramą” za poległych i za Kościuszkę, płakano, śpiewano pieśni narodowe*³⁵.

Autor artykułu wyraził głęboki żal, że od ćwierćwiecza Wrocław, gdzie umieszczono po wojnie odzyskaną „Panoramę”, i Polacy nie mogą doczekać się – z przyczyn politycznych – odrestaurowania płótna.

Z okolicznościami powstania i losów makiety – „Plastycznej panoramy dawnego (osiemnastowiecznego) Lwowa”, której twórcą był mgr inż. architekt Janusz Witwicki, czytelnicy „Nowego Dziennika” zostali zapoznani w 1991 roku³⁶. Autor

³⁴ Tamże, s. 8.

³⁵ Tamże, s. 9.

³⁶ B.a., *Epopėja lwowskiej Panoramy*, „Nowy Dziennik”, 1991, nr 5236, s. 3.

poświęcił jej 18 lat życia, wykonał ją w skali 1:200. Model zajmował siedemnaście metrów kwadratowych. Witwicki dokładnie zrekonstruował kamienice, kościoły, baszty murów obronnych.

Pierwotnie „Plastyczna panorama” miała być pokazana w Baszcie Prochowej w 1940 roku, w 600. rocznicę uzyskania przez Rzeczpospolitą ziemi czerwieńskiej. Z powodu odmowy oddania makiety Sowiecom Witwicki został zamordowany przez nich 17 lipca 1946 roku, tuż przed ewakuacją do Polski. Żona architekta, Irena Witwicka, uciekając do Polski, przywiozła za sobą makietę, którą powierzyła Muzeum Narodowemu w Warszawie. Z obawy przed zakusami sowieckich władz potajemnie przeniesiono ją na ulicę Koszykową 55, gdzie mieściła się siedziba Zakładu Architektury Politechniki Warszawskiej. Tam, u profesora Janusza Zachwatowicza, zaprzyjaźnionego jeszcze ze Lwowa, model przeleżał w skrzyniach 29 lat. Później nieformalnie spoczywał w magazynach Muzeum Architektury przez 14 lat. Na początku 1989 roku okazało się, że został zdekompletowany – brakuje pięciu najcenniejszych, największych, najbardziej pracochłonnych obiektów: ratusza, katedry rzymskokatolickiej, kościoła dominikanów wraz z klasztorem, cerkwi Wołoskiej z kaplicami Trzech Świętych i bóżnicy Złotej Róży. Pismo poinformowało, że jesienią 1991 roku we wrocławskim Muzeum Archidiecezjalnym nastąpiła pierwsza publiczna prezentacja „Plastycznej panoramy”. Żona i córki odtworzyły na własny koszt dwa brakujące elementy, na pozostałe zabrakło funduszy.

Inny charakter mają rozważania filologa klasycznego, profesora Ignacego Wieniewskiego, który usiłował na łamach wielu polskich pism emigracyjnych po obu stronach oceanu zachować wśród rodaków na obczyźnie czystość języka polskiego i który tłumaczył odrębność lwowskiej mowy oraz obyczajów. W jednym z esejów zastanawiał się nad etymologią słowa „batiar”, nierozzerwalnie związanego z tradycją Grodu Orłąt³⁷. Przypomnił ich chlubną rolę w obronie Lwowa w 1918 roku. Na marginesie można dodać, że jego szkolny kolega, późniejszy żołnierz Legionu Wschodniego, następnie Armii Błękitnej Józefa Hallera, wreszcie dyplomata, Juliusz Szygowski w swoich wspomnieniach zatytułowanych *Tak się zaczynało*, potwierdził bohaterstwo najgroźniejszych i najniebezpieczniejszych batiarów ze Snopkowa i Sokolnik³⁸.

Impulsem do przywołania kwestii batiarów był artykuł zamieszczony w tygodniowym dodatku ilustrowanym londyńskiego „Daily Telegraph” z 15 października 1971 roku, przynoszący ciekawe szczegóły dotyczące koczowniczego plemienia Bachtiarów z południowo-zachodniej Persji, których rodowód sięga starożytności. Plemię istnieje do dziś. Wieniewski wyraził przekonanie, że nazwa ich przylgnęła do lwowskich dzieci ulicy z powodu ich „zadzierzystem wojowniczości”:

Już kiedy Aleksander Wielki najechał Persję w IV wieku przed Chrystusem, Bachtiarowie wraz z Medami i Persami stawili mu zacieklej opór. Potem byli groźnymi wrogami Arabów,

³⁷ I. Wieniewski, *Rodowód „batiara”*, „Tydzień Polski”, 1971, nr 40, s. 5.

³⁸ J. Szygowski, *Tak się zaczynało*, Chicago – Lwów, 1972, s. 30.

a podzieliwszy się w XVI wieku na dwa odłamy plemienne, zwalczali się wzajemnie krwawo, nie mówiąc już o napadach na karawany kupieckie, które ciągnęły przez ich tereny. Rabunki te stały się głośne w XIX wieku, kiedy chanowie Bachtiarów zażądali kontrybucji za prawo przejazdu przez ich terytorium. Wynikły stąd nowe zamieszki, a kiedy w roku 1908 odkryto w tamtych okolicach naftę, Bachtiarowie nie omieszkali tego wykorzystać i walczyli o zyski dla siebie z dochodów, jakie przynosiła ropa naftowa³⁹.

Wydawca „Nowego Dziennika” – Bicentennial Publishing Corporation opublikował w 1991 roku w Nowym Jorku wspomnienia o Lwowie, jego ludziach, atmosferze, tradycji i historii pod tytułem *Lwów – wizja utraconego miasta*, napisane na emigracji przez Adama Kozłowskiego – człowieka, który to miasto „kochał bez patosu i z pietyzmem”.

Autor był postacią renesansową – specjalistą od eksportu, prawnikiem i polonistą-amatorem, żeglarzem, wielbicielem teatru, żołnierzem kampanii wrześniowej i ochotnikiem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w 1944 roku⁴⁰. Po wojnie wyemigrował do Brazylii, gdzie pracował jako ekonomista i śpiewał jako tenor w operze w Rio de Janeiro. Był znawcą i kolekcjonerem muzyki średniowiecznej, prezesem Polskiego Stowarzyszenia Kombatantów w Ameryce Południowej. Ostatnie lata życia – zmarł 15 listopada 1985 roku – poświęcił szkicowaniu Lwowa. Z *Anonsu* zamieszczonego na łamach pisma dowiadujemy się, że książkę wnikliwym *Wstępem* opatrzył profesor Ignacy Szenfeld, pisarz i dziennikarz lwowski, również emigrant, autor wielu gawęd o Lwowie, które przez wiele lat ogłaszał na łamach londyńskich „Wiadomości” i „Orla Białego”⁴¹.

Publikacja ta stała się impulsem do przypomnienia dramatu wygnania polskich lwowian *tak bolesnego, że przestraszyła się go wielka literatura, tak trudnego, że unika go niezafalszowana historia, tak drażniącego, że boi się go niezależny film* przez Andrzeja Józefa Dąbrowskiego w „Przeglądzie Polskim”⁴². Gdy wspomina tych, którzy nie mieli czasu na żadne pożegnanie z miastem, których zbudowano w środku nocy, jesienią 1939 albo wiosną 1940 lub zimą z 1940 na 1941 rok i w ciągu kilkunastu minut odwieziono do bydłych wagonów i wywieziono daleko za Ural, używa takich określeń, jak *odyseja, epopeja*. Dla niego Lwów to miastomit, zwane Florencją Północy, lubiane przez wszystkich, wspominane z rozrzewnieniem także przez tych, którzy znaleźli się w nim przypadkowo. Miasto, które zadziwiało harmonią jego renesansowej architektury z przyrodą. Sercem wspomina Wały Hetmańskie, podziemną rzekę Pełtwię, bulwar, którego perspektywę wieńczyła eklektyczna bryła Teatru Wielkiego, elegancję ulicy Akademickiej czy willowych okolic ulicy Poniatowskiego, urodę wypielęgowanych parków Kościuszki, Łyczakowskiego, Stryjskiego, metropolitalny rozmach budynków Uniwersyte-

³⁹ I. Wieniewski, *Rodowód „batiara”...*, s. 5.

⁴⁰ Dane biograficzne Adama Kozłowskiego pochodzą z artykułu A. J. Dąbrowskiego, *Choćby słowem niedoskonałym...*, „Przegląd Polski”, 4 VII 1991, s. 9.

⁴¹ B.a., *Anons*, „Nowy Dziennik”, 1991, nr 5186, s. 7.

⁴² A. J. Dąbrowski, *Choćby słowem niedoskonałym...*, s. 8–9.

tu Jana Kazimierza i Politechniki sąsiadujący z *zaściankową przytulnością małych kamienic*, pociągające tajemnicze zaułki i wzniesienia. Widzi w nich *nieustającą grę architektonicznych zwieńczeń, tympanonów, attyk, wież i kopuł, dachów i mansard rozlokowanych na różnych wysokościach i próbujących się wzajemnie przesłonić lub wzniesć jedne nad drugie. A wszędzie ciska się obfita zieleń*⁴³. Artykuł ilustrują cztery zdjęcia: Teatru Wielkiego, kopuła kościoła dominikanów i wieża Korniaktowska, rynek, kościół bernardynów.

Dąbrowski przywoływał klimat intelektualny prywatnych salonów (przykładowo Stanisławy Blumenfeldowej), w których krzyżowały się niezależne i różnorodne myśli naukowe, artystyczne oraz polityczne. Te same, które spotykamy w *Przygodach człowieka myślącego* Marii Dąbrowskiej i *Czarnej róży* Juliana Strykowskiego. Wspominał też, że we Lwowie urodzili się liczni poeci i pisarze: bracia Staffowie, Jan Parandowski, Stanisław Lem, Zbigniew Herbert.

Pisał o wielokulturowości Lwowa, którą oprócz Polaków tworzyli Włosi, Grecy, Ormianie, Niemcy, Węgrzy, Serbowie, Szkoci i Żydzi, a także Rusini. Wyraził opinię, że dominacja Polaków nie przeszkadzała im być silnymi patriotami lokalnymi i odczuwać przywiązanie do Rzeczypospolitej. Uważał również, że Sowieci z obawy przed tym patriotyzmem rozparcelowali po II wojnie światowej Lwów, lokując Politechnikę w Gliwicach, Uniwersytet pozbawiony patrona we Wrocławiu, tamże Zakład Narodowy im. Ossolińskich (ale tylko z 1/6 ich zbiorów), Teatr w Katowicach (*gdzie roztopił się w nijakości śląskich scen*), Targi Wschodnie w Poznaniu, pomnik Sobieskiego w Gdańsku, „Panoramę raclawicką” po latach we Wrocławiu, a biblioteki miejskie, muzea, galerie pozostawiono Ukraińcom i Rosjanom, którzy *zgodnie z wielowiekową tradycją wywieźli „w nieznanie” co cenniejsze eksponaty*⁴⁴. Dąbrowski nie mógł się pogodzić z myślą, że Lwów 1991 roku jest tylko zsowietyzowanym miastem obwodowym, a polskie zabytki są w opłakanym stanie, co nieuchronnie zmierza ku budowie przez Ukrainę nowego miasta Lwiw. Autor zdawał sobie sprawę z tego, że polski Lwów żyje głównie we wspomnieniach.

Dla Dąbrowskiego kolejne reminiscencje – „sercem pisane”, tym razem przez Adama Kozłowskiego, były wyrazem serdecznej, tęskniącej pamięci. Złożyły się na nie teksty drukowane w „Nowym Dzienniku” w 1986 roku, które spotkały się z żywym oddźwiękiem czytelników. Dąbrowski z przekonaniem napisał, że siłą tej książki jest *żywa i barwna narracja, której styl jest po trosze z „Pamiętników” Paska i gawęd Zagłoby z „Trylogii”*⁴⁵.

Ścieżki pamięci wiodą czytelnika po lwowskich szynkach, kawiarniach, gdzie zapadały wyroki literackie, rozkwitała lwowska szkoła matematyczna, wslawiona rozwiązywaniem przez Stefana Banacha i Włodzimierza Stożka najtrudniejszych

⁴³ Tamże, s. 8.

⁴⁴ Tamże. To jest najprawdopodobniej przesadny skrót myślowy autora, bowiem w latach 1945–1946 lwowskie instytucje naukowe i kulturalne samodzielnie szukały schronienia po drugiej stronie granicy.

⁴⁵ Tamże, s. 9.

zadań na marmurowych blatach stolików, co stało się później przyczyną założenia słynnej „Księgi szkockiej”, pełnej matematycznych zapisów – oprócz już wymienionych – także profesorów: Stanisława Ulama i Hugona Steinhausa. W „Szkockiej” rodziły się matematyczno-filozoficzne fantasmagorie Witkacowskiego Tumora Mózgowicza, czyli Leona Chwistka, i logiczne prawidła profesora Kazimierza Ajdukiewicza.

Następnie poznajemy szlak turystyczny zabytków od Katedry Łacińskiej, renesansowych kaplic, rynku, Arsenалу Królewskiego, kościołów, cerkwi i synagogi. A całość okraszona gwarą lwowską, zwanej bałakiem. Wraz z autorem podglądamy znanych profesorów uniwersytetu, słuchamy plotek wydziałowych, w sobotę chodzimy do teatru na premiery, a w niedzielę słuchamy „Wesołej lwowskiej fali”. Uczestniczymy w Zaduszkach na Cmentarzu Łyczakowskim pośród mogił znanych Polaków oraz powstańców kościuszkowskich, listopadowych i styczniowych. Ostatni szlak, jaki przemierza autor, to droga lwowian przez dwie okupacje. Prowadzi przez Sybir, kopalnie Donbasu, Łubiankę, Katyń, więzienia, Wzgórza Wuleckie, gdzie rozstrzelano profesorów, aż do znanych i nieznanymi miejsc straceń. Szlak ten rozwidla się na dziesiątki dróg ostatecznego wygnania. *Wizję miasta utraconego* kończy żarliwa modlitwa za umęczonych i nadzieja, że wielowiekowa praca wywodzących się stąd Polaków nie pójdzie na marne:

Następne pokolenia muszą wiedzieć, że ogrom cierpień, jakie miały tu miejsce, i danina krwi, jaka wsiąkła w tę ziemię, czyni z niej miejsce uświęcone. A do miejsc uświęconych imperatyw moralny każe pielgrzymować. Choćby słowem. Choćby niedoskonałym⁴⁶.

W czasopiśmie za oceanem śledzono sukcesy lwowian, jak na przykład nadanie w 1991 roku tytułu doktora honoris causa przez Uniwersytet Wrocławski doktorowi Tymonowi Terleckiemu, która to uroczystość ze względu na stan zdrowia tego teatrologa, eseisty, historyka literatury i publicyisty odbyła się w Londynie w siedzibie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego⁴⁷. „Przegląd Polski” zamieścił jego okolicznościowe przemówienie.

Optymistycznie brzmiały spostrzeżenia Adama Wiercińskiego, który odnotował, że w latach dziewięćdziesiątych:

Nagle tyle Lwowa w prasie krajowej, we wspomnieniach mówionych i drukowanych, w kabarecie i pracach naukowych. Ożył lwowski gród w pieśni, w anegdocie, tyle powstało kół, towarzystw miłośników grodu nad Pełtwią, tyle spotkań się odbyło, wykładów, wystaw, wieczorów wspomnień... Zjawisko to budzi – obok radości, wiele różnych emocji. [...] I wraca do pamięci zbiorowej miasto pięknie położone wśród wzgórz. Miasto, które poznało w naszym wieku wszystkie możliwe błogosławieństwa i przekleństwa kresowości. Pogranicze kultur i języków, wyznań, krain geograficznych, klimatów i dorzeczy. [...] Wielkość Lwowa polegała na tym, że w małym i w wielkim łączył, zbliżał i jednoczył⁴⁸.

⁴⁶ Tamże.

⁴⁷ B.a., Tymon Terlecki – rodowód Lwów, „Przegląd Polski”, 25 VII 1991, s. 3, 16.

⁴⁸ A. Wierciński, *Renesans lwowski*, „Przegląd Polski”, 26 IV 1990, s. 6.

Z przytoczonych powyżej kilku publikacji z różnych lat widać zupełną przypadkowość kwestii lwowskich zamieszczanych w polskich emigracyjnych czasopismach za oceanem. Poruszali je głównie sami lwowianie, którzy nie ze swej woli opuścili miasto i którym postanowienia jałtańskie odebrały możliwość powrotu – dziennikarze, uczeni, działacze organizacji emigracyjnych, na co dzień związani z pismami na Wyspach Brytyjskich – z „Orłem Białym”, „Wiadomościami”, „Dziennikiem Polskim i Dziennikiem Żołnierza” czy paryską „Kulturą” Jerzego Giedroycia, czasami korespondenci z Polski.

JOLANTA CHWASTYK-KOWALCZYK

LVIV THEMES IN THE POLISH ÉMIGRÉ PRESS IN THE UNITED STATES AFTER WORLD WAR II

SUMMARY

The paper discusses occurrences of Lviv themes in Polish opinion-forming newspapers in exile in the United States after World War II. The author followed various publications of the „New Diary” in the years 1971–1999 and its appendices: „Polish Week” (1971–1981) and „Polish Review” (1981–1999) issued in New York. Analysis of the newspapers’ contents revealed that a small and dispersed Lviv community, centred on the Lviv Circle, which emigrated to the United States, had regularly published their works in the pages of the „New Diary”. However, compared with the incidence of the same themes in the Polish émigré press in Western Europe, it was a marginal phenomenon. The main topic areas were the unmasking of Soviet authorities’ actions aimed at eliminating traces of Polish culture in Lviv, the devastation of the Lviv Eaglets Cemetery, pictures of the Poltava, poems devoted to the city and anniversary reminiscences of the Lviv defence in 1918. Lviv topics abroad were mostly the domain of those former citizens who had been forced to leave the city, without the possibility of return (owing to the provisions of the Yalta agreement) – journalists, academics, activists in exile regularly associated with the magazines from the British Isles: the „White Eagle”, „News”, „Polish Diary and Soldier’s Diary”, as well as „Culture” from Paris.

Key words: Polish émigré press in the US in the 20th Century, „Nowy Dziennik” („New Diary”), „Przegląd Polski” („Polish Review”), „Tydzień Polski” („Polish Week”), Lviv